

Groteskowy ~ A gotyk Epicki

przez GE Graven



Rozdział XII



Reims, Francja ~ Château de Blasi ~ czerwiec 1348

~ Późne czerwcowe popołudnie powitało początek malowanego zachodu słońca, gdy płonące odcienie barw pokrywały umierające niebo. Blasi stał z twarzą mocno przyciśniętą do szyby, wyglądając przez okno sypialni Alsae na piętrze, a jego oddech skraplał się na niej, tworząc matową aureolę w pobliżu jego bujnej brody. W upalnym letnim upale, który panował w pokoju, kropla potu spływała mu po skroni. Nawet z oszpecającymi bliznami po poszarpanej i przebarwionej skórze, które biegły wzdłuż jego nóg, stał o własnych siłach i w doskonałym zdrowiu. Obok niego stał drewniany stół, na którym stał zakurzony wazon z papierowymi kwiatami, które Renee podarowała Alsae zaledwie kilka dni przed jego ostatnim starciem w Crecy. Postrzępione płatki kwiatów były dowodem na to, że głodne ćmy... od tego czasu wyschły i utworzyły stos przy podstawie parapetu.

„Są jak szereg mrówek. Kto je wszystkie pochowa?” – mruknął Blasi; jego szkliste oczy wpatrywały się w dal. Na głównej drodze, która wyznaczała początek posiadłości Blasi, nieprzerwanie podążał za nimi tłum zarażonych dżumą przechodniów. Z wysokiego i odległego punktu obserwacyjnego Blasi widział ich wciąż jako niekończący się szereg widmowych owadów, nieustannie

Wyptywając z miasta, by zniknąć na wsi. Młodzi i starzy, bogaci i Biedni, mężczyźni, kobiety i dzieci – wszyscy razem i na zewnątrz poruszający się niczym ostatecznie kroki całego miasta, skazanego już na szubienicę. W masowym exodusie większość z nich szła pieszo, niosąc to, co mogli. Inni, którzy ledwo mogli się unieść, potykali się jak chodząca śmierć. Od czasu do czasu przeciążone wozy konne przecinały środek kolumny zmierzającej na północ, a ich koła ledwo ocierały się o martwe od kilku dni zwłoki, usiane poboczami drogi. Blasi startł mgłą z szyby. „Gdzie jest wystarczająco dużo błogosławionej ziemi, by pochować całe miasto – a nawet niezliczone miasta? To niezmiernie szaleństwo; ta zaraza jest.”

Alsaie zawołała do niego znad ramienia, a Blasi usłyszał narastające napięcie w jej głosie. „Jeśli się zbliżą, nie wpuszczaj ich, Francois. Nie możemy im pomóc. Powiedz mi, że... nie zrobisz tego!”

„Zabezpieczyłem drzwi i okna” – odpowiedział Blasi wprost, przyciskając twarz do szyby. „Jesteśmy tak bezpieczni, jak to tylko możliwe”.

Minęła chwila, zanim Alsaie go zbesztła: „Błagałam cię, żebyś opuścił zamek! Jesteśmy w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Nie mogę pojąć, dlaczego pozwoliłem ci przekonać mnie do czegoś innego. Stanie się coś strasznego. Czuję, że to tylko zły omen!”

Blasi odmówił odpowiedzi; zamiast tego obserwował zatłoczoną drogę.

„Mamy jeszcze czas, Francois! Posłuchaj mnie – za stajniami jest zarośnięta ścieżka przez las. Renee często przejeżdżał nią swoim wozem. Możemy załadować wóz i zaprząć tego twojego rumaka...”

Blasi przerwał jej. „Za późno, Alsaie.”

„Nieprawda! A jeśli Michał umrze z ręki twojej upartości – czy zniesiesz takie Krzyż? Możesz, Jean-Francois Blasi?”

„On jest bezpieczny” – stwierdził Blasi. „I ty jesteś bezpieczny. Wierzymy, że wszystko będzie dobrze”.

Alsaie westchnęła i mruknęła: „Tylko jeśli Pan na to pozwoli; a mam nadzieję, że tak się stanie”.

Blasi skinął głową. „Tak będzie”.

„Co więcej, Francois, nie chcę, żebyś potajemnie mówił Michaelowi, że zamierza dosiąść tego niesfornego rumaka. Powinieneś być zatrzymać drugiego, tak jak nalegałem.”

Blasi zmarszczył brwi i opuścił ramiona. „Czy musimy się nad tym jeszcze raz zastanowić?”

„Musimy!” wykrzyknęła. „Musimy, jeśli chcesz zachować tyle sekretów. Czy nie przypominasz sobie, że byłam gorliwą żoną twojego brata i kochającą matką twojego siostrzeńca? Czyż nie otwierałem zawsze przed tobą naszego skromnego domu? Czyż nie troszczyłem się o ciebie w potrzebie? Nie jestem Anglikiem, Francois, i nie zabiłem twoich braci!”

Blasi odwrócił się; jego oczy były czerwone i opuchnięte. „Dlaczego musisz mnie tak boleć? Co masz na myśli?”

czego ode mnie chcesz, w przeciwnym razie?”

„Chcę prawdy!” wykrzyknęła Alsae. „Błagam cię”.

„Ach.” Blasi spuścił głowę i parsknął śmiechem. „Tylko prawdę?”

„Tak; chciałbym usłyszeć od Jeana-François całą prawdę, którą kardynał Blasi przede mną ukrywał. Czy mógłby spełnić tę jedną skromną prośbę?”

Blasi rozejrzał się po pokoju, rozważając jej prostą, choć pozornie niemożliwą do spełnienia prośbę, jednak żaden element wyposażenia sypialni nie był w stanie skupić na nim wystarczająco dużo uwagi, by ją zignorować.

Przenikliwe spojrzenie. Przygryzł wargę, opuścił ramiona i ciężko westchnął. „Jeśli nalegasz, to powiem wszystko”. Odwrócił się do niej plecami i wyjrzał przez okno, po czym kontynuował: „A kiedy

poznasz prawdę, mam nadzieję, że znajdziesz w swoim sercu miejsce, by mi wybaczyć i być może docenisz mój pierwotny powód, dla którego nie byłem do końca szczery”.

Alsae go upomniała. „Prawdę, Francois”.

Blasi przystał na to. „Dobrze więc. Zaczęło się w moich komnatach, w moim apartamencie w Château Rouge w Awinionie, kiedy obudziłem się z zupełnie niespodziewaną wizytą”. Oparł się o parapet, obserwując jednostajny ruch przechodniów, gdy wyznawał wszystko – ze swojej szczęśliwej okazji ujrzenia ducha Jacques’a – z trudnego wejścia do Apokryfów – z odkrycia Kamieni Bramnych ukrytych przez Stolicę Apostolską – z króla Filipa i papieża Klemensa, a także z papieskiego planu, który obejmował pożyczkę – od kapitana Bourne’a i opata Voniga, i jego mozolny pobyt w opactwie Gardiens – o ostatecznym otwarciu Kamienia Bramnego – a także o jego straszliwych obrażeniach i ocaleniu z opactwa na rumaku kapitana . I przez cały czas trwania wspomnień Blasiego Alsae mu nie przerywała. Na koniec Blasi odwrócił się, mówiąc: „No i masz. Wszystko, Alsae”.

Alsae drżącym palcem wskazał na stół obok siebie. „Te stare papiery tam , to o tych stronach mówisz?”

Blasi odsunął się od stołu i skinął głową z poczuciem winy, przyznając: „Większość z nich; inni zostali porwani przez wiatr”. Odwrócił się, ponownie skupiając uwagę na zatłoczonych ulicach Droga. Westchnął. „Nie ma już nic więcej do powiedzenia, Alsae. Proszę, wybac mi, że nie zdradziłem tego wcześniej”. Blasi zacisnął szczęki i zeszywniał w oczekiwaniu na ostrą naganą, ale między nimi panowała jedynie grobowa cisza.

W końcu Alsae z nową energią rozproszyła przedłużającą się ciszę. „Nie słyszę Michaela! Może jest na zewnątrz... z nimi. Francois!”

„Nie martw się, odpoczywa” – zapewnił ją Blasi. „Na tyle bezpieczny, na ile to możliwe”. Nadal wyglądając przez okno, lekko odwrócił wzrok i spojrzał na starą topolę o rozłożystych konarach.

„Wspaniale” – odpowiedziała, a jej głos stał się spokojniejszy i być może zawierał nutę humor. „Francois, przez cały dzień był małym dżentelmenem – wyniszczył mnie do szpiku kości. Tyle w nim ducha – zupełnie jak jego ojciec. Pewnego dnia zdobędzie serce jakiejś szczęściary takiej jak... mnie. I biada kobiecie, która omdleje pod jego urokiem.

Blasi się zakrztusił; kolejna łza spłynęła po jego policzku i zniknęła w brodzie. „Jesteśmy bezpieczni” – odpowiedział, wpatrując się pod topolą w mały drewniany nagrobek z kopczykiem ziemi. Pochował chłopca zaledwie dzień wcześniej. Alsaе złożyła własne wyznanie: „Mam ci coś do powiedzenia i powiem to szczerze. Kiedy spałaś, poszłam do piekarni po świeży chleb. Lepiej bądź głodna; twój talerz jest przepelniony. I może cię ucieszy wiadomość, że twój brat dołączy do nas na obiedzie”. Zaśmiała się. „I tym razem dał słowo, że przyjedzie przed zachodem słońca. Och, posłuchaj! Przychodzi nawet teraz, Renee!” Alsaе westchnęła głęboko.

„Musisz odpocząć. Przyniosę jedzenie, wodę i świeżą pościel” – odpowiedział Blasi, odtaczając się od okna. Jego wzrok spoczął na Alsaе, która leżała zwinięta na brzegu łóżka, złana potem. Jej delikatne, uniesione ramię sięgało poza materac, zawieszona w powietrzu, jakby sięgało po coś lub kogoś niewidzialnego. Konuszki jej palców były czarne, usta uśmiechnięte, ciemne i spierzchnięte, a jej szklane spojrzenie skierowane było na coś więcej niż tylko na załamane sufitu.

Następnego dnia Blasi harował pod starą topolą, pomiędzy kopcami świeżej ziemi, rozrzucając łopaty ziemi na grobie Alsaе i przykrywając ostatniego krewnego z niegdyś wybitnego rodu Blasi. Wbił łopatę w ziemię i przekopał stopą połamane korzenie, gdy odkrył przeładowany wóz zaparkowany przed głównym wejściem do zamku. Blasi osłonił oczy przed słonecznym blaskiem, aby lepiej przyjrzeć się nieproszonemu gościowi. Na tle schorowanych przechodniów kierowca pozostał na miejscu, obserwując go niczym bezwstydnym podglądacz. Pasek materiału owijał mu całą głowę, z wyjątkiem odsłoniętego fragmentu, który ukazywał jedynie ciemną szparę, gdzie w przeciwnym razie znajdowałyby się oczy. Mógł przypominać mumię w kapeluszu z szerokim rondem. Kierowca siedział w południowym słońcu, narzucony na siebie długim płaszczem. Gdyby nie ujawnił się otwarcie w świetle dnia, Blasi, patrząc na niego złowrogo i bez twarzy, mógłby uznać go za samą Śmierć, zaparkowaną na wozie z trupami. Jednak gdy ten pozornie osobliwy widz nie wykazywał oznak dalszego zbliżania się, Blasi zignorował go i skupił się na poważniejszych i pilniejszych sprawach.

Kardynał wyjął z podstawy drzewa butelkę starego octu i pokropił świeżo poświęconą zawartością grób Alsaе, recytując naiwnie wypowiedziane przez Michała słowa:

uznano za: inne słowa. W końcu, gdy jego słowa dobiegły końca, Blasi uklęknął obok u stóp jej działki i zakończył modlitwę pożegnalnym pozdrowieniem: „Idź z Bogiem w Chrystusie, Alsaie Blasi; kochająca żono Renee Blasi; troskliwa matko Michaela Blasi. Amen”. Naznaczył się znakiem krzyża i skłonił w cichym szacunku – i retrospekcji. I w chwili zawisania; w nieobecności ptasiego śpiewu; w monotonnym syczeniu letnich świerszczy; w swędzącym i zawrotnym upale dnia, w nadejściu jego opuszczonego stanu; i w niepokojącym odkryciu, że każda jego prośba o przebaczenie na zawsze trafi do głuchych i martwych uszu, Blasi zapłakał. Osunął się na kolana i upadł na szczyt kopca, zgarniając garście ziemi w ściśnięte grudki, jakby boskie środki, mocniejsze zrozumienie chwili może pomóc wyrzucić presję na Alsaie. Jej stan terminalny. Tam, pod topolą, wśród brudnych rąk i łkań, potok płaczu rozlewał ziemię. I tam, pod topolą, Blasi rozkoszował się smakołykami swoich rozczarowań, chłonąc przytłaczającą pustkę, tonąc w żarliwej mieszance retrospekcji i smutku.

„Bon après-midi, Monsieur!” Nieoczekiwane wołanie wstrząsnęło Blasim, gwałtownie go odwracając. Do rozsądku. Zerwał się na równe nogi i obrócił się jak niczego niepodświadomy przestępca, ocierając oczy i dostrzegając zbliżającego się woźnicę i jego kołyszający się wózek. Nieznajomy zdjął kapelusz, odwinął tkaninę wokół głowy i zrzucił długi płaszcz. Ukazał się jako mężczyzna w średnim wieku z zapadniętą twarzą i bujną brodą. Wyraźne cienie pod oczami sugerowały, że jest zmęczonym podróżnym. Podchodząc powoli, woźnica machnął ręką na powitanie. „Comment allez-vous?”

Blasi rozkazał mu, unosząc dłoń, by go zatrzymać: „Zatrzymaj swojego wierzchowca!”. Wyskoczył spod drzewa i zszedł na polanę. „Nie podchodź dalej!”. Woźnica natychmiast się zatrzymał, a jego wierzchowiec kilkakrotnie skinął głową, sprzeciwiając się napiętym wodzom. Blasi wskazał na zamek i krzyknął do niego: „Pan tej posiadłości dowodzi armią! Uciekaj natychmiast, albo zginiesz z jego ręki!”.

„Je m'appelle , Jean Labatut ” – zawołał właściciel furmanki, przedstawiając się. „Jestem wybitnym kupcem z Marsylii. Proszę wybaczyć, że niepokoję pana dworu; jednakże byłbym niezmiernie wdzięczny za audiencję u niego, jeśli pozwoli mi pan”. Otarł czoło o rękaw. „Ma pan moje dżentelmeńskie słowo, że nie niosę ze sobą złej woli – jedynie moje modlitwy i obietnicę dobrych intencji, które z pewnością doceni w tych trudnych czasach”.

Blasi podszedł do wozu i przyjrzał mu się uważnie. „Daj znać o swoich dobrych intencjach”. Mężczyzna zaczął kaszleć, kiwając jedynie głową i wskazując palcem

u podstawy topoli, zanim zdołał wykrztusić chrapliwą odpowiedź: „Przygotowujecie świeże groby”. Przełknął ślinę i odchrząknął. „To poświęcona ziemia, prawda?”

„C'est ainsi,” potwierdził Blasi.

„Poświęcone właściwie przez księdza?”

„C'était ainsi, „” potwierdził ponownie.

Mężczyzna pociągnął nosem i uważnie rozejrzał się po terenie, jakby szukał czegoś, co go szczególnie interesowało. „A jaka część tego terenu jest poświęcona?” Jego wzrok znów spoczął na drzewie i obejrzał je od najwyższych gałęzi aż po korzenie.

„Dość! Czego szukasz?”

„Jeśli pan pozwoli, chciałbym się z nim wymienić na prostą usługę w zamian za wszystkie moje towary.”

Blasi ukradkiem zerknął na wejście do zamku. „On z nikim nie rozmawia, poza mną. Opowiedz mi o swojej propozycji, a natychmiast ją przekażę”.

„Tak. Chciałbym ... jeśli pan pozwoli...” Mężczyzna skrzywił się i podrapał po zarośniętym brodzie, zastanawiając się, jak najlepiej przedstawić swoje dobre intencje. „Proszę go poinformować, że przybył kupiec z wozem wypełnionym towarami na tyle, by zaopatrzyć cały jego dwór na kilka sezonów”. Zerknął przez ramię i obejrzał swoje towary, zanim wyrecytował swój inwentarz, jak każdy sprawny kupiec, dopracowany przez lata przebiegłych interesów : „Mam świeże zboże, suszone owoce, solone mięso i słodycze. Mam olej do lamp, proszki zapachowe, balsamy, tkaniny, skórę i lekarstwa. Mam obfity zapas soli i wszelkiego rodzaju przypraw peklowych i leczniczych. Mam żelazka kuchenne, porcelanowe serwując srebrne i złote naczynia, godne każdego szlacheckiego domu. Mam też nietkniętą beczkę najwspanialszego wina w całej Francji”. Odwrócił się, spojrzał Blasiemu prosto w oczy, skinął głową i podał rękę swojemu rumakowi i wóz, uroczyście mówiąc: „A ten piękny wierzchowiec i solidny wóz również są częścią mojej umowy, jeśli pan zechce . Proszę go o tym poinformować – dam mu to wszystko, jeśli tylko zgodzi się na prosty... wniosek.”

Nawet w niezbyt reprezentacyjnym stanie kupiec prezentował się tak nienagannie , że uchwycił skupienie równie przebiegłego kardynała. Blasi przyjrzał się nogom, zębom i oczom konia , stwierdzając, że zwierzę to piękny, młody, muskularny wierzchowiec o nieskazitelnej sierści, która zdawała się rzucać karmazynowy połysk na tle blasku słońca. Zmrużył oczy, czując narastającą podejrzliwość. „A cóż to może być za prosta prośba?”

Mężczyzna poprawił się na wozie. Odchrząknął i powiedział: „Zaraza mnie dopadła. Jednak w zamian za wszystko, co posiadam, proszę jedynie o kawałek poświęconej ziemi na godny pochówek”.

Blasi cofnął się o kilka kroków i splótł palce przed sobą, rozważając niezwykłą sytuację

Prośba. Rzucił okiem między topolowymi grobami a schorowanym kupcem, zanim spróbował odrzucić propozycję udręczonego nieznanego . „Już nie wierzę...” Mężczyzna wtrącił: „Błagam cię!”. Wskazał na tyły posiadłości. „Mogę zostać na zewnątrz zamku, na wozie; tam z tyłu, blisko granicy lasu. Nie potrzebuję żadnej opieki”. Przyłożył chusteczkę do szyi i kontynuował swoją prośbę: „Mam mało czasu; może jeszcze dzień i nie będę już ciężarem. Nie proszę nawet o kamień, żeby mnie oznaczyć – tylko o działkę na świętej ziemi”.

Blasi dokładnie obejrzał wóz kupca , który wiozł imponujący ładunek i wyglądał na mocno zmodyfikowany w stosunku do pierwotnego projektu. Liczne pionowe deski stały wysoko, przymocowane pasami z każdej strony, wszystkie zawierały metalowe zapięcia, między którymi przeciągnięto sieć lin, a także wysoki stos ciasno upakowanych zapasów żywności zgromadzonych w wozie. Zastanawiając się, jak koła wozu były w stanie utrzymać taki ciężar, zauważył ich niezwykłą szerokość. Wzrok Blasiego zatrzymał się na górnej krawędzi miniaturowej beczki na wino, która zdawała się wyzierać zza tobołka jutowych worków. Wziął głęboki oddech i spojrzał przez ramię, poza tył zamku, ponad gęste pole chwastów, a na odległy rząd lasów, który wyznaczał ciemniejszą granicę posiadłości. Odwrócił się do mężczyzny i przyjrzał mu się w dobrym świetle, wyczuwając autentyczność oferty kupca . W końcu Śmierć zdawała się obstawać przy swoim, sama w pełni ukształtowana i dojrzała w przepelnionym lękiem spojrzeniu mężczyzny. Blasi znał znaki i cel – nieomylna aura losu, śmiertelności i holistycznej niejasności rzucała na niego klątwę niczym uporczywy, czarny blask.

Kardynał gestem dał mu znak, by ruszył, wracając do starego drzewa. „Przesuń wóz na skraj lasu”. Sięgnął po łopatę i ruszył w stronę tylnego wejścia do zamku, wołając: „Zostań tam, dopóki nie wrócę z odpowiedzią”. Woźnica posłuchał, rozgarniając morze chwastów i ostrożnie prowadząc wóz przez pole wysokich, brązowych trzciny, które chrzęściły pod jego kołami.

Blasi wszedł do zamku i wszedł do paleniska i kuchni; oparł łopatę w kącie, zanim zamknął drzwi. Wstał i otarł lepki pot z karku, ignorując nieustanny smród wymiocin i żółci, który go ogarnął.

Rozwagał, co zrobić ze swoim nowym gościem na łożu śmierci – takim , który posiadał wystarczająco dużo ładunku, by zapewnić mu obfite zapasy na nadchodzące zimowe miesiące. Blasi wiedział , że w obliczu zarazy trawiącej pobliskie miasto Reims, mężczyzna wiozł na wozie prawdopodobnie więcej prowiantu niż te, które były dostępne we wszystkich sklepach w mieście . Jednak nawet przy zachowaniu rozsądku i wszystkich obietnic kupca

dla niego beczka wina stała przede wszystkim w jego umyśle jako kuszący eliksir, który Blasi uważał za podstawowy składnik jego tymczasowego istnienia, jeśli miałby utopić dręczące wspomnienia Michael i Alsa. Wino, bardziej niż jedzenie czy samo życie, wystarczyło, by uciszyć jego poczucie winy – by ukoić jego sumienie, choćby na chwilę.

Jęknął, kopiąc rozrzucone śmieci, gdy zbliżył się do zasnutego smugami okna. Przesunął ręką przez rój niebieskich i zielonych much, zajrzał przez brudne, witrażowe szkło i spojrzał ponad porośniętym łodygami polem, by zobaczyć wierzchołek ładunku kupca, teraz ulokowany w pobliżu tylnej linii lasu. Ktoś się poruszył i Blasi dostrzegł mężczyznę stojącego teraz wysoko na wozie i rozglądającego się dookoła, najwyraźniej badającego zarosnięty teren. Blasi uśmiechnął się ironicznie, zanim zwrócił się do kupca szeptem i z wyniosłą miną: „Och, umierający człowieku; czy nie czujesz jego wszechmocy?

W każdym oddechu? Jest wszędzie – plaga narastającego rozkładu w każdym naszym ruchu. Śmierć jest nieśmiertelna – sedno życia, które przetrwa nas wszystkich”. Zachichotał jak pijak i odtoczył się od okna.

Blasi wpatrywał się w zagrożoną podłogę, a jego uśmiech zniknął pod stopniowym stwardnieniem twarzy. Jego brwi opadły, szczęka zacisnęła się, a jedyne sprawne oko wypaliło dziurę w kamiennych płytach. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę z cuchnącego zapachu, który przenikał przestrzeń wokół niego. I dopiero wtedy dostrzegł malowniczą aranżację i martwą naturę, która stanowiła centrum pomieszczenia – duży, nieociosany stół i jego graficzne przedstawienie. Stół wyglądał jak dobrze używany ołtarz ofiarny, ze stertami brudnej bielizny rozlewającymi się po jego blacie i bokach. Plamy krwi i inne wydzieliny ustrojowe stwardniały tkaninę w sztywne warstwy o nieregularnych kształtach. Pośród nich leżała zaschnięta drewniana miska do mycia, dowód jego żarliwych wysiłków, by się wykapać i zmyć gorączkę. Muchy latały na jej brzegu, a Blasi zacisnął usta, wpatrując się w prymitywny spektakl.

„Nie!” krzyknął, przedzierając się przez śmieci. „Nigdy nie będziesz...”

Blasi chwycił za krawędź stołu i szarpnął, przewracając go na bok, gdy miska z brzękiem rozbiła się o podłogę. Chmury much wzbiły się w powietrze, a w sali zapanował jednostajny szum. „Nigdy!” Odskoczył do tyłu, gorączkowo przeszukując ściany i sufit pomieszczenia, jakby szukał czegoś konkretnego. Blasi rozłożył szeroko ramiona i zaczął się kręcić w kółko, śmiejąc się i krzycząc na całe pomieszczenie: „Patrzcie na mnie! Nadal tu jestem! Nic nie zrobiliście! Nie możecie mnie dotknąć! Boicie się mnie! Nigdy nie będziecie...” Blasi odganiał muchy, machając rękami nad głową i stracił równowagę w śmieciach. Uderzył głową o podłogę z taką siłą, że zakręciło mu się w głowie. I leżał nieruchomo jak martwy, a wspomnienie głosu Michaela nie dawało mu spokoju: „Jestem”

Będę aniołem i będę miał skrzydła – i będę latał – naprawdę, naprawdę szybko – żeby diabeł mnie nie złapał! Blasi jęknął i otworzył oczy, by odkryć swoją dłoń tuż przy twarzy, muchę siedzącą na zdartej kostce. Przez chwilę leżał na kamiennych płytach i obserwował, jak owad pociera nogi, a jego ogromne, szkarłatne oczy wpatrywały się w niego. Potem wzbił się w powietrze i zatoczył koło przed jego twarzą, a w jego umyśle wciąż rozbrzmiewał głos Michaela: „Jak... To, wujku Francois! Jak wiatr? Widzisz, jaki jestem szybki? Mucha na chwilę przysiadła na twarzy Blasiego, badając ślad nowej łyzy, która kapała z czubka jego nosa.

Pod brzęczeniem much, leżąc na pustkowiu niegdyś pożądanego i wyjątkowej posiadłości Blasi, kardynał wycofał się w najdalsze zakamarki swego umysłu, do krainy całkowicie oderwanej od czasu i przestrzeni – do miejsca, gdzie mrok, wstręt i zamęt mogły mieszać się z wypaczonymi wspomnieniami i niepokojącymi snami, by ukazać zewnętrznie potworny i nienaturalnie zrosnięty stan chorego samozadowolenia, groteskowego cynizmu i nienaturalnych mikstur absurdalnie niespójnych wspomnień i refleksji, zrodzonych i wykutych z jakiegoś spokojnego, czarnego basenu skrajnego szaleństwa. Nie było tam żadnego dźwięku przypominający trzask łamanego drewna czy tłuczonego szkła – ani śladu łupnięcia, łomotu, trzasku czy brzęku, który mógłby sugerować pęknięcie. Nie było absolutnie nic, poza nieprzerwaną ciszą; a jednak w ciszy tego śmiertelnie cichego i czystego stanu transcendencji umysł Blasiego zanikał, choć tylko nieznacznie.

Kardynał zmienił się diametralnie, chichocząc i siadając prosto na podłodze. Odgarnął z czoła rozczochrane włosy i wpatrywał się w ściany pokoju, jego oczy były szkliste i przewracały się jak u pijaka. Skinął głową z uśmiechem. „Rozumiem”. Wstał i otrzepał nogawki spodni. „Rzeczywiście”, odparł, zarzucając ręce na biodra i wciąż zwracając się do ścian. „Zabraliście mi je, bo chcieliście mnie torturować najintymniejszą stratą – i uchronić mnie przed skutkami tej ziemskiej zarazy, gdy wszyscy inni jej ulegną, bo chcecie utrzymać mnie przy życiu, abym mógł dać wam długie życie pełne żalu, którym będziecie się wiecznie karmić”. Odprawił ściany zirytowanym gestem, opanowując się. „Zejdźcie mi z oczu – o Śmierci i Ponurej Rozpaczy – mam prawdziwego gościa czekającego za kulisami, choćby na chwilę”.

poprawił ubranie, zachował się jak każdy porządny i grzeczny dygnitarz oczekujący audiencji, po czym wyszedł z zamku z subtelnym uśmiechem, uniesionymi brwiami i podbródkiem.

Blasi przeszedł przez wysokie chwasty i zatrzymał się pośród nich, wołając kupca i gestem dając mu znak, by podszedł. „Prowadź siebie i swój wóz pod tylne wejście do zamku! Pan przyjmuje twoją ofertę – wino i prowiant w zamian za pokój, wyżywienie i godny pochówek!”

Kupiec pokręcił głową. „Lepiej zostanę tutaj, bo pan sprowadzi zarazę na swój dom!” Blasi patrzył, jak zsiada z wozu i znika na polu trzciny. Jedynie jego głos wskazywał kierunek, gdy kontynuował: „Jeśli pan sobie życzy, mogę zostać pod tymi drzewami, podczas gdy jego żołnierze rozładowują wóz!”

„On tego nie chce” – wykrzyknął Blasi, machając do niego ręką i dodając: „Ani przedłużające się widmo, ani bezpośrednia Ręka Śmierci nie są dla niego sprawą pilną”.

pan domu, Accueillir, monsieur Labatut!

Po przerwaniu syczenia świerszczy na polu zapadła chwila ciszy, po czym kupiec zapytał Blasiego: „Czy on też umiera?”

„Nie ma go. Teraz przyprowadź siebie i swój wózek, a dopiero wtedy spełni twoją prośbę”. Blasi zobaczył ponad chwastami, jak mężczyzna wsiada do wózka i kieruje nim w jego stronę.

„Czy pan ma w swoim domu kapłana?”

„Tak, na chwilę, i zajmie się twoimi potrzebami”. Blasi gestem wskazał mu zamek, gdy wracał do tylnego wejścia.

„Czy ty jesteś tym księdzem?”

Blasi zawołał przez ramię, nie zwalniając kroku. „Jak zapewne się domyśliłeś, 'rano. Konsekracja, rozgrzeszenie i ostatnie namaszczenie wydają się być ostatnio moim zmartwieniem . Chodź! Mam pusty pokój i pragnienie wina.’

Kupiec zaparkował wóz przy wejściu, a dwaj mężczyźni zaczęli rozładowywać, układając jego zawartość w kuchni dworu. Kiedy przenieśli prawie całe zapasy do domu, kupiec zsunął z ramienia worek ze zbożem i umieścił go w środku, na podobnym worku, który również ułożył Blasi. Kupiec prychnął i ciężko westchnął, opierając się o przewrócony stół: „Nie zrozumiałem, że rozładowywanie własnego wozu było częścią wymiany ”. Rozejrzał się po wewnętrznych wejściach, które prowadziły w głąb domu i na górę. Westchnął, otarł pot z czoła i zapytał Blasiego: „Gdzie są ludzie pana ? To absurd; czy oni śpią? Umieram, przenosząc te zapasy, żeby utrzymać ich przy życiu”. Pokręcił głową i skrzywił się. „A co tu się dzieje? Ten smród... te odpady... jak pan pozwala...”

Kupiec zerknął na pokrytą muchami, brudną pościel i odwrócił się w stronę Blasiego, przyglądając mu się uważnie. „Śmierć była tutaj. Jesteś jedynym ocalałym w zamku, prawda?”

Blasi podszedł do niego, oparł się o stół i pokręcił głową. Spojrzał prosto na kupca i uśmiechnął się. „Śmierć opuściła to miejsce. I prawdę mówiąc, nie ma tu żadnych żołnierzy; „Jednak mistrz jest tutaj.”

„Nie słyszę kaszlu ani kichnięcia – żadnego znaku życia, poza tymi dokuczliwymi muchami” – odparł.

zacisnął usta i machnął przed sobą ręką, odprawiając go. „Ty jesteś tym panem?” Blasi zaśmiał się złośliwie. „Jako ja, mogę się tylko dziwić, że jestem tak wybitny i ulotny”. Rozejrzał się po sali z udawanym wyrazem poważnej podejrzliwości, szepcząc do kupca: „Pan słucha nas nawet teraz”.

Mężczyzna zmrużył oczy, zanim rozejrzał się po pokoju i przemówił wystarczająco głośno, by jego głos mógł być słyszalny: „Przez lata chodziłem otwarcie w towarzystwie królów i ich wasali”. Oparł ręce na biodrach i zwrócił się do ścian: „Jestem Jean-Baptiste Labatut, Mistrz Pośrednictwa w Importach Wschodnich”. Nie usłyszawszy odpowiedzi na swoje samoprzedstawienie, szeptem zapytał Blasiego: „Jeśli pan jest tak prominentny, jak mówisz, to może ma jakieś nazwisko, które znam?”. Pochylił się bliżej. „Jego tytuł?” Blasi poklepał mężczyznę po ramieniu. „Och, wszyscy go znają. I wkrótce będziesz miał u niego audiencję. Podejrzewam, że jak wszyscy jego goście, on również oczekuje twojej z autentyczną niecierpliwością. A teraz wino; dobrze?” Pobudził mężczyznę do ruchu i wyszli z zamku.

Kardynał okrążył wóz i przyjrzał się ledwo widocznemu insygniowi na beczce wina, gdy podszedł do niego kupiec. „Dlaczego nawet jego tytuł musi być tak tajny, że nie możesz mi go nawet wyszeptać?

Blasi wzruszył ramionami. „To nie tajemnica. Pan odpowiada na wiele imion, ale jego prawdziwe imię brzmi... Śmierć”. Znowu zwrócił uwagę na beczkę i dodał: „To dość pospolite, ale szlachetne imię, w tym samym znaczeniu – co o tym myślisz?”

Kupiec zbladł i cofnął się. „Myślę, że ksiądz dobiera słowa w bardzo złym guście, biorąc pod uwagę mój stan.”

„Nie chcę ci niczego złego życzyć” – odparł Blasi, wskazując na dwa groby pod drzewem. „Tak jak nie chcę im niczego ubliżyć. Widzę tylko to, czego nie mogę nie być świadkiem. Naprawdę, nie chciałbym niczego widzieć pod tym drzewem; widzę jednak groby. Niczego bardziej nie pragnę niż dowiedzieć się, że moi bracia poległi dzielnie pod Betanią, a nie pod Crecy, a potem odkryć, że zmartwychwstali; widzę jednak ich twarze tylko w snach. Nie chciałbym widzieć niczego przemierzającego drogi Reims; miasto jednak jest zajęte umieraniem – w tym ciebie, a ja muszę teraz pochować kolejnego.

Chciałbym dać odpocząć zmęczonym nogom i napić się wina; ale oto jesteśmy, w palącym upale dnia, z beczką wina wciąż na wozie i zabawiamy pana, którym tak rozpaczliwie gardzę: Śmierć.” Blasi prychnął i wskoczył na wóz.

Labatut poszedł za nim i zapytał: „Twoi bracia są pod drzewem?”

„Nie. Śmierć jest pod drzewem – jest wszędzie. Pan pochłonał nawet mnie – ja też nie żyję”. Blasi jęknął, delikatnie przechylając beczkę na bok i instruując

kupiec ostrożnie przesunął beczkę; „Teraz powinniśmy obchodzić się z nią delikatnie, żeby nam nie uciekła”. Nagle rumak zadrżał, przechylając wóz i powodując, że kupiec upadł na beczkę. Pojemnik potoczył się w kierunku tyłu wozu, gdy Blasi wdrapał się na niego, zapobiegając jego upadkowi na ziemię. Przytrzymał beczkę, aż wino osiadło w środku. „Ostrożnie, mówiłem! Kroczysz jak krowa!” Spojrzał gniewnie na żalosną twarz kupca, zanim oparł głowę o beczkę. Potem wziął głęboki oddech. „Może na chwilę straciłem głowę. Wybacz mi, Jean-Baptiste. To tylko moja obawa; że to wino jest wyjątkowe, jak pan wspomniał.”

Kupiec otarł pot z oczu i podczołgał się do tyłu wozu, mówiąc: „To najlepsze wino w całej Francji”. Zatrzymał się obok Blasiego, uśmiechnął się i wyszeptał: „I jestem świadkiem czegoś jeszcze – że zmarły ksiądz cierpi na straszne pragnienie swojego wyjątkowego wina. Czy moglibyśmy mu pomóc?”

Blasi skinął głową.

Dwaj mężczyźni pracowali przy beczce, ustawiając przy wozie dwie deski, aby ją rozładować.

Labatut poprawił ton jednej z desek i stłumił kaszel. „Wiesz, że dopadła mnie zaraza, a jednak nie trzymasz się ode mnie z daleka. Wygląda na to, że Pan ci błogosławi, prawda?”

Blasi stał nieruchomo. Podrapał się po brodzie i zamyślił, krótko oglądając palec, po czym skinął głową. „Na to wygląda. I jak przed chwilą byłem świadkiem, malutki aniołek „Zstąpił na moją rękę i powiedział wszystko”. Oparł się o tył wozu, dłubiąc zadrapanie na kostce. „Wtedy stało się dla mnie jasne, że trudne pytania nie mają trudnych odpowiedzi, ale proste. Wydają się trudne tylko dlatego, że są. Nie jest częścią tego, czego oczekujemy w odpowiedzi. Dlatego nasze oczekiwania często dyktują, co uznamy za wiarygodne odpowiedzi na nasze pytania. Czy mnie rozumiesz? „Eee, nie, nie chcę” – przyznał kupiec. „Zadałem tylko proste pytanie. Dlaczego nie umierasz, jak wszyscy wokół?”

Blasi odsunął się od wózka, roześmiał się i wyciągnął ręce w geście prezentacyjnym. „Widzisz? Nawet ty nie możesz zobaczyć odpowiedzi na swoje pytanie, bo nie potrafisz patrzeć dalej „To, czego oczekujesz.”

Labatut zmarszczył brwi. „Widzę, że albo ćwiczysz mówienie w kółko, albo nie chcesz mi odpowiedzieć, albo coś ci dolega”.

„Ach!” krzyknął Blasi, wskazując palcem w powietrze. „Odpowiedziałeś na swoje pytanie, choć nie chcesz go przyjąć jako odpowiedzi”.

Kupiec prychnął i oparł się o wóz. „Która część jest więc prawdą? Że odmawiasz mi odpowiedzi?”

„Nie, ta druga część jest prawdą – że coś ze mną nie tak”. Blasi zacisnął usta i skrzywił się, zanim kontynuował. „Kiedy pytałeś mnie, dlaczego nie umieram jak wszyscy inni, spodziewałeś się, że mogę umrzeć. Czy rozumiesz, że nie potrafisz patrzeć dalej niż na to, że żyję? Jak ci mówiłem, nie umieram, bo już jestem martwy”. Zaśmiał się. „umarli nie mogą umrzeć – nie ma drugiej śmierci”.

Labatut wstał od wozu. „Nie żartujesz. Naprawdę wierzysz w to, co mówisz, prawda?”

„Widzisz? Odpowiedź wcale nie była trudna – tylko inna, niż się spodziewałeś ”. Blasi skinął głową, puszczając oko.

Kupiec odprawił Blasiego i otarł pot z zatroskanego czoła: „Dzień jest krótki. Słabnę, a tobie ewidentnie potrzeba drinka. Mamy beczkę wina do przewiezienia i godny pochówek do zorganizowania. Może?”

Dwóm mężczyznom udało się skrupulatnie przenieść beczkę do kuchni i postawić ją pionowo w najdalszym kącie pomieszczenia. Kupiec pochylił się nad nią, ciężko dysząc. Blasi oparł się o ścianę i złapał oddech. „Gdzie są giermkowie pałacowi, kiedy ich potrzebujesz?”

Kupiec spojrział na niego. „Którzy giermkowie?”

Blasi pokręcił głową i potarł ramię. „Sędziowie czy nie, przenieśliśmy to – potrzebujemy tego”. „My? Potrzebujesz tego.”

Blasi odsunął się od ściany, schylił się, podniósł nogawkę spodni i zaczął wyjmować drzazgę z beczki wina, którą, jak czuł, znajdowała się obok jego kolana. Mówiąc, dłubał w ranie. „Nie, mój przyjacielu; najboleśniejszą częścią śmierci jest jej ostatnia godzina i będziesz błagał o to wino, kiedy nadejdzie ten czas”.

Kupiec zmarszczył twarz i wyprostował się, oglądając odsłoniętą nogę z jej grubą, pokrytą dołami i głęboko odbarwioną skórą.

Blasi wyjął drzazgę z kolana, oblizał kciuk i otarł strużkę krwi.

Wstał i zobaczył na twarzy kupca wyraz obrzydzenia. „To była tylko drzazga – przeżyję”. Blasi uśmiechnął się.

„Rzeczywiście, że tak” – odpowiedział kupiec – „bardziej niż większość”.

Uśmiech Blasiego zniknął. „Co masz na myśli?”

„Chcę powiedzieć, że wygląda na to, że masz albo szczęście, albo przekleństwo, że przeżyjesz resztę z nas”.

Kupiec wskazał na nogę. „Pokaż mi oparzenia, które zabiłyby każdego innego człowieka.

A ty jesteś tu, ze mną – z zarazą u boku – i bardziej martwi cię drzazga niż śmierć. Kupiec skinął głową, a na jego twarzy malowała się podejrzliwość. – Wygląda na to, że jesteś kimś więcej niż tylko śmiertelnością.

Kim jesteś?

Blasi uśmiechnął się i uniósł brwi, udając tajemnicę. „Może anioł mnie pobłogosławił?” Uspokoił kupca, klepiąc go po ramieniu, zanim...

eskortując go po schodach. „Tylko Pan Bóg wie, co jest dla nas wszystkich najlepsze. A teraz cię ugoszczę. Będzie ci wygodnie. W przeciwieństwie do warunków na dole, Sypialnia na górze jest schludna i czysta”. Zachichotał. „W sumie to miejsce mogłoby przypominać niebo i piekło w jednym domu”. Kupiec próbował zatrzymać się na schodach i spojrzeć na niego, ale Blasi pchnął się w górę. „Nie martw się. Zgodnie z umową, zaopiekuję się tobą i dopilnuję, aby twój pogrzeb był tak godny, jak pogrzeb każdego godnego człowieka Bożego. Na razie musisz odpocząć. A my rozkoszujemy się dobrym winem i towarzystwem tego wieczoru”.

Czas mijał, gdy Blasi zadomowił się w swoim umierającym gościu, udzielając mu gościnności w sypialni Alsae na piętrze. Kupiec spał, parkując wóz przy stajniach i doglądając nowo nabytego wierzchowca. Karcił i poił zwierzę, ostatecznie zabezpieczając je w ostatnim boksie, w którym niegdyś znajdował się dziki, czarny wierzchowiec, który uciekł. Minęło kilka godzin i w blasku latarni i gwiazd powrócił do zamku. Zapalił lampy oliwne, stuknął w beczkę i obudził wypoczętego gościa dwoma kielichami i taką ilością wina w drewnianej misce, że nawet para rumaków zapadłaby w stan upojenia alkoholowego.

Blasi odstawił umywalkę i kieliszki do wina na stolik nocny. „Przespałeś większość popołudnia. Jak się czujesz?”

Mężczyzna usiadł na brzegu łóżka. „Jakby stratowany przez

„Własny diabeł” – jęknął. Krople potu spływały mu po twarzy. „Śniło mi się, że byliśmy Kopałem sobie grób. A jednak zgubiliśmy ziemię. Szukałem mojej ziemi. Boże drogi”.

Blasi obserwował, jak rozgląda się po pokoju, jakby wciąż jej szukał. Potem zauważył umywalkę i kielichy. „Stuknąłeś wino?”

„Tak. Idziemy?” Blasi pełnił rolę gospodarza, podnosząc oba puste kielichy i podając jeden gościowi.

„Może za chwilę” – mężczyzna potarł gardło i przełknął ślinę, a jego twarz wykrzywiła się, jakby z bólu. Blasi odstawił oba kielichy obok umywalki i podszedł do okna. Skrzyżował ręce za plecami i wpatrywał się w drogę. Kilka odległych pochodni przesuwano się w szeregu, powoli dryfując w ciemności niczym kolumna leniwych widm ognia, świadcząca o ciągłym masowym exodusie z Reims.

„Powiedziałeś, że masz na imię Labatut?” zapytał Blasi.

Mężczyzna kaszlnął i odchrząknął. „Jean Labatut.”

„Wydaje mi się, że pamiętam”. Blasi odwrócił się i wpatrzył w buty kupca. „Mówiłeś, że pochodzisz z Marsylii?”

„Tak, Marsylia.”

„Powiedz mi, skąd wzięłeś to wino?” zapytał Blasi, skinąwszy głową w stronę umywalki.

”

Cóż, pochodzę z Awinionu, ale pierwotnie z Marsylii. Opuściłem Marsylię, gdy po raz pierwszy pojawiła się zaraza.

„Aha!” Blasi pstryknął palcami. „Jesteś Jean-Baptiste'em Labatutem; kupcem z Awinionu, którego sklep znajdował się naprzeciwko kowala... w zaułku prowadzącym na cmentarz w Curii, tak?”

„Ja... tak. Jak...”

Uśmiechając się szeroko, Blasi podszedł bliżej do łóżka, pocierając brodę, jakby rozszyfrowywał tajemnicę. „A twoja wierna flota kurierów wozowych odbywała regularne podróże do portu w Marsylii, gdzie potajemnie handlowali beczkami wina z genueńskimi statkami handlowymi w... w zamian za towary importowane z Kaffy, przeznaczone do Genui.”

„Czy my się już kiedyś spotkaliśmy?” – zapytał kupiec.

„Ale nie było jakie wino, zauważ.” Blasi zignorował jego pytanie i pogroził palcem. „Niebiański ferment z najwspanialszych owoców – te beczki pochodzą prosto z Wielkiej Piwnicy skromnego miejsca Jego Świątobliwości : Pałacu Papieskiego w Awinionie.” Blasi zaśmiał się cicho.

„Skąd to wiesz?” Kupiec poruszył się na łóżku, okazując na zewnątrz narastający niepokój.

Kardynał kontynuował, dobitnie akcentując swoje przemówienie. „Zastanawiam się, jak to się stało, że Genueńczycy nigdy nie zauważyli licznych rozbieżności, porównując statki. Zapisy dotyczące tego, co rozładowywali. Zastanawiam się też, jak to możliwe, że pałacowi skrybowie nie zauważyli tylu brakujących beczek z winem”. Blasi uśmiechnął się z zadowoleniem. „Oczywiście, ani część towarów ze statków, ani część papieskich beczek nie zostały początkowo zarejestrowane jako inwentarz”.

„Nie jesteś księdzem. Kim jesteś?” Kupiec spojrział na niego gniewnie.

„Tak naprawdę jestem kardynałem”.

„A ja jestem latającym rumakiem” – warknął mężczyzna.

Blasi się roześmiał. „Rozpoznałem znak na beczce, zanim ją przenieśliśmy – ten sam znak, który zawsze wycinałem na bokach beczek z winem i zostawiałem do odbioru twoim kurierom. Znakowałem tylko najlepsze beczki sezonu”. Skinął głową. „Wygląda na to, że przez jakiś czas byliśmy sprawdzonymi partnerami. To była korzystna wymiana dla nas obu, prawda? To chyba błogosławieństwo, że w końcu spotkaliśmy się twarzą w twarz po tylu latach, choć niestety w tak poważnych okolicznościach”.

„Wasza Eminencja? Kardynał Jean-Francois Blasi?” – zapytał mężczyzna z niedowierzaniem. Blasi uniósł ręce, z dłońmi skierowanymi na zewnątrz. „Jestem nim – twoim wiernym i byłym dostawcą wina, znów do twoich usług”.

Kupiec zaśmiał się. „No cóż, wygląda na to, że znasz część mojego wyznania”

jeszcze zanim to powiem”. Pokręcił głową. „I często się zastanawiałem, co ten Kardynał robił z towarami, które mu sprzedawałem”.

Blasi wyjął z pobliskiego wazonu długi papierowy kwiat, odpowiadając mu z uniesioną brwią: „Jak zapewne wiesz, Kolegium Kardynałów to grupa o odmiennych umysłach. Trzeba od czasu do czasu zapewnić sobie lojalne wsparcie innych – podarunki i tym podobne. Bycie kupcze, rozumiem, że rozumiesz, co mam na myśli” – Blasi zakręcił kwiatkiem, uśmiechnął się złośliwie, i puściła mu oko.

Kupiec zaśmiał się cicho. „Nie jesteś lepszy ode mnie, biorąc pod uwagę twój udział w tym”.

„I nigdy tego nie twierdziłem. Jednak tamte czasy już minęły, a nasze czyny dawno pogrzebano bez śladu. I nawet dzisiaj ani chwalebna Stolica Apostolska, ani majestatyczna genueńska szlachta nie dostrzegają niczego, co nie zostałoby uwzględnione – obie mają w zwyczaju nadmiar „Wszystkiego”. Kardynał uśmiechnął się słabo, badając palcami papierowe płatki kwiatu. „Taka jest apatyczna ślepotą siedzib wszystkich wielkich autorytetów, prawda?”

Blasi powąchał podniszczony kwiat i zdmuchnął kurz z jego płatków. „Wygląda jednak na to, że podobne nieszczęście dotknęło nas obu. Nie jesteś już tym bogatym kupcem, którego sobie wyobrażałem; a ja nie jestem już tym sprytnym kardynałem, którego sobie przypominałem”. Rzucił kwiat na podłogę i skrzyżował ręce za plecami. Zakołysał się na piętach. „Och, ale może cię rozbawić fakt, że jeden z twoich przemyconych genueńskich importów teraz siedzi w Pałacu Jego Królewskiej Mości – dość osobliwy trójnóg do gotowania jajek. Zawierał dwie lampy oliwne z namalowanymi na nim niebieskimi smokami”.

„Przypominam sobie takie urządzenie – Okno Jajowe, ochrzczone później przez Jego Królewską Mość – trzy z nich podczas mojej ostatniej podróży do Marsylii. Mój kurier zebrał je, uznając za wyjątkowo cenne – jedyny powód, dla którego przyjął je w handlu. Kupiec ułożył poduszki pod wezgłowiem łóżka i wyprostował się. „Więc dar dla króla, tak?”

Blasi podszedł do stolika bocznego.

„Nie do końca – raczej część wymiany.”

„Po co?”

Blasi się roześmiał. „No cóż, skoro już musisz wiedzieć: żeby zapewnić sobie armię”.

„Armia?” Mężczyzna spojrzał na niego krytycznie. „A ja jestem ognistoczerwonym rumakiem. Mimo to, opowiedz wszystko”.

„Gdybym ci opowiedział wszystko, to na pewno byś mi nie uwierzył”. Blasi zanurzył oba kielichy w misce do mycia. „Może teraz moglibyśmy napić się wina?” Okazał gościnność kupcowi, który wziął puchar i powiedział: „Tak, może przegonię gorączkę, a jeśli dobry Bóg pozwoli, to nawet samą Śmierć”. Wzniósł toast za Blasiego i wypił połowę pucharu.

„Argh!” warknął kupiec, a wino spływało mu po brodzie. Blasi poczuł zapach własnego kielicha i upił łyk. „Gorzkie” – poskarżył się Blasi, cmokając wargami. „Jak długo wino było wystawione na działanie dziennego upału?”

„Od Awinionu. Po usłyszeniu wieści o przybyciu zarazy do Awinionu, pospieszyłem załadować wózek. Zapomniałem przykryć beczkę. Mężczyzna otarł usta rękawem. „Słońce je zabiło” – podsumował Blasi.

Kupiec opróżnił resztkę kielicha, pochylił się nad stołem i ponownie napełnił kubek. „Cóż, umierający nie piją dla przyjemności” – stwierdził, opadając na poduszki i ponownie wznosząc toast za Kardynała.

Blasi uniósł kielich, z kamienną twarzą wypijając resztę wina. „Zmarli też nie” – jęknął. On również zanurzył kielich w misce do mycia, żeby go napełnić.

„Nie czujesz się chyba naprawdę martwy, prawda?” – zapytał go kupiec, chichocząc. Spojrzał w górę i zobaczył dość surowe spojrzenie – wyraz zupełnie szczerzy. Jego uśmiech zniknął i być może w tym momencie Labatut dostrzegł ziarno szaleństwa, zasiane w stojącym nad nim kapłanie. Kupiec oderwał wzrok i wpatrzył się w czarne okno. Potem mruknął z uniesioną brwią: „Cóż, mam nadzieję, że w końcu będę tak samo martwy jak ty; przyznaję”. Wzniósł toast w kierunku kapłana i opróżnił kolejny kielich. Następnie zanurzył kielich z powrotem w czarce z winem. Jęknął. „Mój stan się pogarsza”. Otarł pot i wtulił się głęboko w poduszki, trzymając kielich obiema rękami i uśmiechając się, może jak dziecko z niecierpliwością wyczekujące bajki na dobranoc. „Opowiedz mi więc o tej armii, którą zdobyłeś, i o tym, czego bym nie uwierzył. Ach, i o ranach na nogach, jeśli łaska”.

Blasi odwrócił się i zaczął chodzić po pokoju, mijając wezglowie łóżka i stąpając równo po papierowym kwiatku. Mimo to jego wzrok przebijał się przez podłogę i zatrzymywał się w przeszłości. „Cóż, rozumiem” Teraz to nie ma znaczenia. To nie jest aż tak święta tajemnica, żeby zmarły nie mógł jej wyznać umierającemu. Przeszedł się jeszcze trochę, pogrążony w głębokim zamyśleniu.

Kupiec naciskał: „No to dawaj! Żeby ten umierający kupiec nie znalazł się martwy, zanim martwy kardynał się przyzna!”.

Blasi odwrócił się. Spojrzeli na siebie i parsknęli śmiechem.

„Dobrze” – powiedział Blasi – „To zaczęło się w Awinionie – w Château Rouge, gdzie wzbudziłem najbardziej zdumiewający widok”. Blasi krążył po pokoju z kielichem, nie spuszczać wzroku z kupca, gdy ten dzielił się relacją ze swojej intymnej rozmowy z widmem zmarłego brata – o swojej niechęci do zamordowania kolegi kardynała, aby wydobyc niewiarygodne sekrety ze Stolicy Apostolskiej – o jego sprytnym oszustwie polegającym na kradzieży pilnie strzeżonych stron opisujących działanie bram do samego piekła – o jego mistrzowskim

zorganizowanie spisku przeciwko niczego niepodważającemu papieżowi, co zapewniło mu utrzymanie Armia króla – jego bezprecedensowe oblężenie ufortyfikowanego opactwa, z niewielkimi stratami w ludziach – jego wyzwajające demony, które miały zniszczyć wszystkie armie Anglii — i ostateczne pokrzyżowanie jego planów przez nieostrożność bezczelnego i naganego Kapitana. Od czasu do czasu kupiec ruszał, by przemówić, lecz Blasi przykuwał jego uwagę tym samym żarliwym blaskiem nieustannej oracji, z jaką występował jako znakomity mówca, często dominujący na sali Kolegium Kardynalskiego. I przez cały ten czas Blasi napełniał oba kielichy, aż wypili całe wino z umywalki.

Labatut zastanowił się nad przyczyną swego coraz większego zaniepokojenia i znalazł winowajcę. Choć wydawało się to drobne, a jednak dla niego oczywiste, w spojrzeniu Kardynała pojawił się nowy, nienaturalny błysk – osobliwy blask, którego początkowo nie zauważył. Wydawało się, że Blasi obserwował go z dwóch przeciwnych kierunków, dobrym okiem zaglądając mu przez ramię, a chorym wpatrując się w jego duszę. Czuł, że białe oko patrzy w jego wnętrze, i to wszędzie naraz.

Blasi na chwilę opuścił pokój z pustą umywalką, by wrócić z ozdobnym, trójnożnym dzbanem pełnym wina. Gdy tylko postawił go na stoliku, kupiec pospiesznie się wycofał i ostrożnie odsunął od niego. Blasi udawał, że tego nie zauważa, gdyż był szczególnie pochłonięty napełnianiem i sprawdzaniem kielicha chorego, i to z taką starannością, że mogło to sugerować, iż wino jest precyzyjnie odmierzoną dawką lekarstwa. „Nieco więcej powinno złagodzić te teraz bardziej widoczne przejawy twojej niemocy” – stwierdził Blasi z pewnością siebie doświadczonego lekarza. Wyciągnął pełny kielich i posłał swojemu, pozornie przykutemu do łóżka pacjentowi, posyłając mu pobłażliwy uśmiech. Jednak kupiec tylko na niego patrzył. „Weź kielich” – nalegał Blasi – „Napij się z niego. Zatop swoje cierpienie”. Mimo to wzrok kupca błędził po pokoju, jakby szukał szybkiego ratunku. W słabym blasku świecznika Blasi zobaczył, jak po czole mężczyzny spływają krople potu. „Twoja choroba wywołuje u ciebie gorączkę.

Ogarnij się i posłuchaj moich słów. Nalegam, żebyś pił, póki jeszcze żyjesz, żeby utrzymać kubek. Blasi pochylił się nad łóżkiem. „Weź to!” warknął, nie zwracając uwagi na narastający krąg moczu na kolanach gościa.

Wino rozprysnęło się, gdy kupiec wytrącił mu kielich z ręki. „Trzymaj się z daleka – nie piję już z takimi jak ty!”

„Jak sobie życzysz” – odparł spokojnie Blasi, prostując się i ocierając plamy wina z ubrania. Odwrócił się i skupił na napełnianiu własnego kielicha.

„Niestety, muszę nadal pić z ludźmi takimi jak ja; a wkrótce narastające bóle twojego słabnącego stanu będą cię prosić, żebyś zrobił to samo”. Z pełnym

Po wypiciu filiżanki Blasi wrócił na swoje samozwańcze stanowisko i stanął przy oknie, dając mężczyźnie wystarczająco dużo miejsca na zebranie myśli. Blasi popijał filiżankę, spędzając czas na pozornie lekceważącej mowie i litanii nienormalnej introspekcji i złowieszczych proroctw, niestosownych nawet dla najmniej zaangażowanych duchownych, a zwłaszcza kardynała kolegijskiego.

Blasi kontynuował jedynie mrużąc, z twarzą przyciśniętą do szyby, udając, że widzi przenikliwie przez atrament nocy i bada nieprzerwany strumień zarażonych zarazą przechodniów; „Spójrz na nich, wszyscy idą jak kolumna trupów. Już nie żyją – wszyscy. Zobacz, jak walczą w swoim beznadziejnym stanie; napędzani jedynie miłymi wspomnieniami i nieustającymi marzeniami na jawie”. Westchnął głęboko, delektując się wspomnieniami, zanim zaoferował dość niezwykle połączenie w połączeniu z przewidywaniem i retrospekcją; „O świecie odkryjemy jeszcze więcej z nich śniących na jawie przy drodze; z nasyconymi uśmiechami, nagimi jaźniami i muchami igrającymi w ich oczach. Gdyby tylko znali prawdę o sobie, przestaliby udawać życie i zażalić się. Oni, chodzący – udający, że żyją. Dopiero w śmierci pojmą w pełni swój los; że byli głupcami, próbując przetrwać w świecie, w którym śmierć jest wpleciona w samą materię jego projektu. Ostatecznie nic, co ma ziemskie znaczenie, nie pozostanie święte. I jakie większe dobro może przetrwać nadzieje i marzenia, jeśli wszystko przepadnie w rękach much?”

„Nie wierzę, że jesteś księdzem” – mruknął kupiec. „Kim jesteś?”

„Kim jestem?” Blasi zachichotał. „Jeśli opowiem ci, jak to się stało, to będziesz wiedział, kim jestem. Wszystko zaczęło się całkiem prosto”. Po chwili milczenia odchrząknął i przemówił: „Kiedy byłem jeszcze chłopcem, zobaczyłem żwawy szereg mrówek wspinających się po zboczu dużego drzewa, mimo że jego wyższe konary płonęły od niedawnego uderzenia pioruna. Gdy kolumna wspinająca się na drzewo, mrówki spłonęły i upadły na ziemię. Strzepnąłem je z kory, ale kolejne poszły tą samą drogą. Splunąłem im na drogę, ale one krążyły wokół śliny i kontynuowały swój marsz w górę. Niektóre nawet roztrzaskałem, mając nadzieję, że inne natychmiast wyczują niebezpieczeństwo i zawrócą, jednak one wciąż pełzały wokół martwych i kontynuowały wspinaczkę w ogień”. Blasi pokręcił głową i zachichotał. „Podczas mojej chłopięcej i dość głupiej misji ratowania tych mrówek z płomieni, spadająca gałąź złamała mi nogę i omal nie odebrała mi życia. Ta chwila poruszyła mnie najbardziej”.

„mnie, w samo jądro mojej duszy, nawet po to, by zmienić bieg mojego przeznaczenia – od rycerza do biskupa”. Pstryknął palcami. „Od zgromadzenia mrówek do kardynała kolegijskiego, teraz wiesz, kim jestem”. Blasi odwrócił się od okna i stanął twarzą do kupca, przygotowując się do zaprezentowania się z otwartymi ramionami – z gestem pokornej wspaniałości. Zamiast tego, w pijackim odrętwieniu, potknął się o stolik,

zrzucając wazon z hukiem na podłogę. Upuścił kielich i upadł do tyłu, pękając. Oparł się o parapet, a potem oparł się o szybę. Jego wzrok utkwiony był w stopach, gdzie odłamki rozbitego wazonu leżały porozrzucane wśród strzępów papierowych kwiatów.

„Mrówki umierają – umf – muchy się bawią – umf”. Kupiec drwił i jęczał, siadając na brzegu łóżka i zakładając buty.

„ Nie potrzebujesz butów” – stwierdził Blasi, zataczając się w jego stronę. „Musisz odpocząć. Co robisz?”

„Trzymaj się!” Kupiec wskazał na niego palcem i warknął: „Trzymaj się z daleka!”

Blasi zamarł w pół kroku. „Dlaczego musisz się przebierać?”

Mężczyzna poprawił ubranie. Spod kosmyków spoconych i splątanych włosów wydobył oskarżycielskim wzrokiem wpatrywał się w Blasiego, warcząc: „Aby naprawić to, co złe. Muszę pożegnać się z tym dworem grzechu – i z tym samozwańcym, bluźnierczym duchem, który czci samego siebie jako czcigodnego i wybitnego kardynała Blasiego!”

Blasi spojrział na bogato malowany porcelanowy dzbanek z błyszczącą powierzchnią w drobne niebieskie kwiatki i hojnym zapasem nietkniętego wina. Zapytał: „A co wyniknie z naszej umowy?”

Mężczyzna skrzywił się z bólu spowodowanego pogarszającym się stanem zdrowia. Odgarnął włosy do tyłu i spojrział prosto na Kardynała. „To twoje – mój towar, mój wóz, mój rumak – wszystko . Potrzebuję tylko siebie, tam gdzie muszę iść”.

Blasi postrzegał teraz tego mężczyznę jako kogoś obcego – zupełnie inną osobę niż kupiec , którego poznał dopiero niedawno. Mężczyzna wydawał się posiniaczony i opuchnięty, jakby wielokrotnie bity; a w precyzyjnie ustawionych kątach światła świec jego wyraźnie dziwaczne rysy lśniły równomierną warstwą potu. Jego głowa, z groteskowo zapadniętą twarzą , wydawała się całkowicie mała .

„Spójrz na siebie!” – wykrzyknął Blasi z nutą obrzydzenia w głosie. „Umierasz, gdy to mówisz!” Nie ma innego miejsca schronienia. Odpocznij!”

Kupiec skinął głową i ruszył zataczając się w stronę drzwi. „Bądźcie pewni, że to zrobię – w pokoju i bez towarzystwa Zła”. Wyszedł z pokoju, ostrożnie schodząc po otwartych schodach, ocierając się o kamienne ściany, by utrzymać równowagę.

Blasi podążał za nim, nalegając, by mężczyzna położył się spać. Kupiec jednak zignorował błagania Blasiego i kontynuował, kpiąc z niego każdym krokiem w dół: „ Pan mojego domu to Śmierć! Żyję, a jednak jestem martwy! Spiskuję przeciwko Jego Świątobliwości i Kościołowi! Jestem mordercą kardynałów, opatów i zakonników! Otwieram bramy piekieł! Chodźmy pobawić się z muchami w ich oczach!”

„Nie powiedziałem czegoś takiego!” – odparł Blasi. Przycisnął brodę do piersi i przeszukał swoją zamgloną pamięć, zanim zapytał z niedowierzaniem: „Czy powiedziałem coś takiego?”. Zatrzymał się na schodach i pomachał pełnym kielichem obok siebie, niezgrabnie rozchlapując wino na ubrani. „Że my... „Może bawić się muchami?” Oparł ciężką głowę o ścianę i parsknął śmiechem.

„Może wino zagłuszyło moje uczucia. Proszę mi wybaczyć; dobrze by było, gdybym uważał na język”. Po czym rzucił się za kupcem, który nie zwalniał kroku, i chwycił go za ramię. „Nie! Nie powiem nic więcej. Chodź, musisz wrócić do pokoju!”

Kupiec wyrwał się z uścisku Blasiego, zszedł ze schodów i przemierzył kuchnię, aż w końcu oparł się o kamienny kominek. Przeszukał swoje rzeczy i znalazł je, ułożone w stosy i zajmujące większość pomieszczenia.

Po drugiej stronie, na beczce wina, stała płonąca lampa naftowa, a jej migoczący płomień rzucał upiorny, olśniewający blask na zagraconą przestrzeń. Wpatrywał się w unoszące się cienie na podłodze, jednocześnie ganiąc Blasiego pośrednim oskarżeniem: „A twoje nogi są teraz uzdrowione, kiedy większość mężczyzn umarłaby od... takie krzywdy. Jak to możliwe, żeby... ach, tak... bo przecież niebiosa dobrze ci życzyły!”

Mężczyzna potknął się i upadł na podłogę, po czym pospiesznie zaczął pełzać przez cienie – przez liczne zakręty i zakręty, w samodzielnie skonstruowanym labiryncie własnych dóbr. Ciemność go pochłonięła, pozostawiając jedynie głos, który wołał: „Saint Denis, osłaniaj moją drogę! Osłaniaj mnie!”

Blasi zawołał w kierunku, z którego dochodził głos kupca : „Przed kim lub czym ma cię chronić? Ogarnij się! Zaraza cię ciężko pochorowała”. Blasi zatoczył się za nim . go, rozchlapując wino. „Wracaj, mówię!” Ciemne stosy zapadały się między sobą w crescendo kontrastujących tonów, gdy garnki i patelnie brzęczały, a szkło i porcelana rozbijały się o kamienne płyty. „Widzę cię tam! Weź się w garść!”

„Zwariowałaś !”

Mężczyzna wyskoczył z ciemnego kąta i obrócił się z łopatą, której ostrze zamajaczyło zaledwie kilka stopni przed twarzą Blasiego . Słaby blask ostrza przekonał Blasiego do podniesienia ręce – i kielich. Kupiec trącił kapłana narzędziem w twarz, demonstrując determinację. „Czy mam wykopać ci grób dziś wieczorem?”

„Nie ma potrzeby” – odpowiedział Blasi, ustępując miejsca. „Czy nie mam przygotować twojego, tak jak chciałeś?”

„Nie ma potrzeby! Odsuń się ode mnie” – warknął kupiec.

Blasi mrugnął i cofnął się o kilka kroków, po czym wytarł ślinę kupca spod jego oko. „Jak sobie życzysz, Monsignore Labatut. Nie chcę ci życzyć źle”.

„Jesteś w zмовie z diabłem, pod postacią księdza” – warknął kupiec, wbijając ostrze w Blasiego i popychając go jeszcze dalej w tył, przez rozrzucone stosy

bałagan na podłodze.

Blasi potknął się niezgrabnie o te drobiazgi, ale zdołał nie rozlać kielicha. Kupiec pospiesznie uciekł z kąta, przestępując z trudem przez gruzy i jednocześnie pospiesznie formując linię do tylnych drzwi zamku, narzekając. „Zatrzymaj wszystko – każdą rozsypaną przyprawę, każdą stłuczoną łyżkę i każdą kroplę gorzkiego wina! Tylko że to marne narzędzie jest moje” – warknął, potrząsając w górę łopatą. W jego krótkim spojrzeniu wstecz białka jego dzikich oczu mogły przyćmić nawet światło lampy. „O, rzeczywiście!” – zgodził się Blasi z wściekłym kupcem. „To twoje, jak mówisz! Bierz .”

Mężczyzna odwrócił się i zamarł w miejscu. Wpatrywali się w siebie wystarczająco długo, by docenić monotonne brzęczenie świerszczy o świcie , duszny upał i unoszący się w domu smród.

Blasi wziął głęboki oddech i przerwał ciszę. „Więc co zamierzasz zrobić z tą łopatą?” Ukradkiem upił łyk wina, wymieniając spojrzenia między ostrzem narzędzia a przenikliwe spojrzenie na szaleństwo wywołane chorobą mężczyzny .

Kupiec w końcu parsknął nerwowym śmiechem. „Nie, Monsignor; nie jesteś człowiekiem bożym. Tonący pies znalazłby więcej obietnic nieba niż człowiek w grobie, który mu pan przygotował! Widzę w tobie najgorszego z diabłów, skrywającego swój rozdwojony język pod fasadą pobożności, podczas gdy na zawsze pozostajesz bezkarny, by siać swoje zło”. „Jestem tym, za kogo się podaję” – oświadczył Blasi. „Jestem tym samym Kardynałem, który pomagał ci w twoich poprzednich interesach”. Wskazał na drewnianą beczkę. „Ta właśnie beczka pochodziła z Wielkiej Piwnicy Pałac Papieski, którego byłem jedynym zarządcą”. Następnie przechylił kielich w stronę kupca, jakby wznosząc za niego toast. „Nawet gorzki, znam ten konkretny szczep po smaku; to nie jest zwykły gatunek. Co więcej, znam siebie jako człowieka Boga i Francji; jakkolwiek złowrogi mógłbym się wydawać ludziom dotkniętym zarazą albo – tonącym psom – jak tak chętnie to określasz. W związku z tym moja oferta pozostaje aktualna – pochowam cię z wszelkim szacunkiem, obrzędem i modlitwą, jakich można oczekiwać od doświadczonego księdza”.

Kupiec spojrział na swoje rozrzucone towary, najwyraźniej rozważając ofertę, jakby usłyszał ją na nowo. Ponownie zwrócił uwagę na Blasiego i podał mu łopatę. groźnie. „I?”

Przez słaby strumień światła, który przełamał cienie i oświetlił podłogę, Blasi wykrył Miniaturowy rumak pośród rozrzuconych zapasów – kawałki porcelanowej figurki leżały rozrzucone na kamiennych płytach, zdeptane pod nogami. Głowa małego, bladego rumaka leżała obok obcasa buta kupca . Podobnie jak kupiec, Blasi odwrócił się i rozejrzał po tym samym zagraconym otoczeniu, najwyraźniej przenosząc się do znacznie szerszego obrazu, gdy w myślach analizował to, co natychmiast uznał za...

Indywidualny i pozornie enigmatyczny stan kołowych i satyrycznych odniesień. Całkiem niezły zwrot akcji z biegiem czasu, rozmyślał, że zniszczona porcelanowa zabawka była wcześniejszym prezentem dla jego siostrzeńca, które zdobył w tajnych transakcjach przemycających towarów z genueńskich statków i które najprawdopodobniej pochodziło od kupca, który przed nim stał. Podobnie beczka gorzkiego już wina niewątpliwie pochodziła z dawnych, pośrednich kontaktów kupca z nim, kiedy to Blasi rutynowo przemycał beczki z magazynów piwnicy pałacu papieskiego w zamian za rzadkie towary importowane, które następnie wykorzystywał do uniwersyteckich wymian i łapówek politycznych – rzadkie towary importowane dokładnie tak samo, jak sfluczona dalekowschodnia figurka porcelanowa.

„I co wtedy? Wyrzuć to z siebie!” – krzyknął kupiec, mrużąc oczy, jakby chciał wymusić na Blasi ujawnienie celowo tajnych szczegółów umowy, faustowskiego wymysłu czy diabelskiego układu.

Blasi zrekompensował inkwizytorskie popisywanie się mężczyzny jedynie zmęczonym uśmiechem i statecznym tonem w swojej ostatecznej odpowiedzi: „I... użyję tych innych słów na twoją cześć. W końcu, jak inaczej znajdziesz niebo bez mojej modlitwy, innymi słowy?” „Słowami diabelskimi i obmową? Ach! Tak podejrzewałem” – wykrzyknął kupiec, wciskając łopatę w stronę kardynała. Blasi jednak stał niewzruszony; wpatrywał się tępo w złamanego rumaka; zatopiony we wspomnieniach młodego chłopaka, który kiedyś latał szybciej niż jakikolwiek anioł – i być może z taką werwą, że łaskawy wiatr go zauważył i porwał. z tego wszystkiego chłopiec zdawał sobie sprawę, że świat jest rozdarty na kawałki przez złowrogą i bezbożną zarzę.

Blasi przygryzł wargę i skinął głową beznamiętnie. „Niestety, muszę nalegać, abyś opuścił ten dwór i jego teren. Możesz zabrać narzędzie do ręki i wszystko, co możesz unieść; jednak rumak i beczka wina Jego Świątobliwości pozostaną jako dziesięcina i własność Stolicy Apostolskiej”.

„Nie potrzebuję rumaka! A ty mógłbyś się utopić w winie – oszczędź nam męki swojej nikczemnej i niewybaczalnej osoby” – warknął mężczyzna.

Blasi gwałtownie odetchnął i unióś wysoko brew. „Bez pożegnania, ufam, że odnajdziesz swoją drogę, prawda?”

„Rzeczywiście, że tak” – mruknął kupiec, opuszczając łopatę. Cofnął się w stronę drzwi i otworzył je od tyłu. Chłodny wiatr owiał pomieszczenie, unosząc delikatny zapach deszczu. W oddali brzęczały świerszcze. „Muszę wykopać grób, póki...”

„Masz środki. I nie próbuj mnie śledzić”. Błysk na nocnym niebie na chwilę ukazał go Blasiemu jako zaledwie sylwetkę.

Blasi uspokoił kupca. „Nie ma się czym martwić, Monsignor Labatut. Pogodziłem się z tym, „Zostań tu, pochłonięty moim własnym natłokiem spraw”. Przechylił kielich i sprawdził, jak bardzo jest pusty. „Aby się w nim utopić, nawet”.

Patrzył, jak kupiec odrywa kosmyki spoconych włosów z twarzy, okrakiem zarzuca łopatę na ramię i wkracza w noc. Blasi ostrożnie podążył za nim do drzwi, po czym oparł się o framugę wejścia. Zakręcił kielichem, wznosił nieśmiały toast w stronę odchodzącego gościa i skrzywił się, pijąc.

Ostatnie łyki skażonego wina. Westchnął, gdy rozległ się grzmot.

Najwyraźniej kupiec dostrzegł jego gest i krzyknął w stronę Blasiego: „Oui! Salut, Diable!”. Blasi wszedł z powrotem do zamku i zamknął tylne drzwi, nie myśląc o niczym innym poza pełną umywalką i pustym łóżkiem, które zamierzał wykorzystać jako wieczną rozkosz.

Poza zamkiem umierający mężczyzna zataczał się przez coraz wyższe chwasty, odgarniając z siebie zerwane nici pajęczyn, postrzępione kokony i kłujące ciernie, modląc się do Boga, Jezusa, świętego Krzysztofa i każdego innego błogosławionego męczennika, który mógłby wysłuchać jego błagania o pomoc. Odwrócony tyłem do drogi, osiadł na tyłach dworu i ruszył naprzód, by wypełnić samozwańczą misję, potykając się w stronę czarnego horyzontu dziewiczego lasu – śmierć stała się dla niego sprawą osobistą, której nie wolno dzielić z nikim innym poza nim samym i Bogiem. Niestety, drogę oświetlały mu jedynie błyskawice – dawny blask gwiazd teraz wylaniał się zza chmur nadciągającej burzy. A pod pomrukiem niebem błysk niebiańskich błyskawic odsłonił parę wysokich, starannie wykonanych, podwójnie szytych, zielonych butów, w komplecie z frędzlami na mankietach i metalowymi zapięciami, a wszystko to w postaci wzbierającej woły ostatecznie utonął.

To była pierwsza i ostatnia okazja, kiedy kardynał Blasi miał okazję osobiście spotkać się z niegdyś wybitnym kupcem, Jeanem-Baptiste'em Labatutem; głównym pośrednikiem w handlu najlepszymi towarami importowanymi z Dalekiego Wschodu oraz starannie wyselekcjonowanymi winami, jakie Francja kiedykolwiek znała.

~*~

Śmierć i zniszczenie były wszystkim. Czarna zaraza rozprzestrzeniła się po wszystkich miastach i miasteczkach Francji, uciszając ich wspólnotowe serca swoją niszczycielską i nieustępliwą obecnością. Prości chłopcy działali jak buntownicy, zrównując z ziemią całe wsie, jednocześnie wyznając powszechny, niedorzeczny pogląd: że żadne zło nie zatriumfuje we Francji, dopóki będą na tyle bezczelni, by podpalić każde miasto. Jednak zaraza rozprzestrzeniła się wśród niesfornych tłumów niczym dziki ogień, pozostawiając je tak czarne jak...

popioły budynków , które spalili.

Zdesperowany, by wyjaśnić mechanizmy i źródła Wielkiej Zarazy, król Filip w październiku 1348 r. wezwał wybitnych wykładowców Uniwersytetu Paryskiego. Niezwłocznie zebrała się wybrana rada wielu dyscyplin, obradowała w rytualnej tajemnicy i przekazała swoje ustalenia Filipowi w dokumencie zwanym Traktatem Paryskiego Konsylium. Zbiorowy wysiłek wskazał kilka możliwych przyczyn zarazy, w tym układy planet, podziemne opary uwalniane podczas trzęsień ziemi oraz trujące cząsteczki niesione przez wilgotne wiatry z rozkładających się bagien. Niemniej jednak komentarz był jedynie zbiorem spekulacji, które niewiele wniosły do ujawnienia przyczyny lub lekarstwa. I chociaż Diabeł nie był w szczegółach dokumentu – choć Zło nie było obecne w jego kanonie przyczyn – kliniczne wyjaśnienie było skądinąd godną uwagi próbą zmierzenia się z pozornie nagłym i enigmatycznym istnieniem tej wiecznie trawiącej obrzydliwości. Dotychczas prawie dziesięć milionów Europejczyków było zbyt pochłoniętych śmiercią, by przejmować się przyczynami. Ostatecznie zmarli pozostali martwi – w większości .

Czarna Śmierć była szalejącym ogniem piekielnym, który spalał oblicze Europy i trawił ludzkość, będącą niczym sadzonka w rozszalałej burzy ogniowej. Niczym płonące ramiona, nacierające linie Diabelskiej Choroby sięgały coraz głębiej w głąb lądu, rozciągając się na północ i zachód, by objąć nieskażone terytoria i opanowując cały kontynent. Kraje, jeden po drugim, od krańca do krańca, płonęły niczym mapy.

Hiszpania eksplodowała, pozostawiając większą część jej miast narażoną na dość nową koncepcję — cmentarze bez brudu. W suszy nieustępliwego lata, dżuma zalała jej miasta, a w zawrotnym upale jej mieszkańcy nie mogli rozróżnić, czy pocą się od upału sezonu, czy nagłej gorączki. Większość jej mieszkańców mogła zrzucić winę na upał dnia, jednak połowa nie mogła łatwo zignorować nowych czarnych pąków pod pachami jako zwykłego potu lub oparów. W rzeczywistości dżuma była szybkim i bezwzględny katem; zdrowi kładli się spać tylko po to, by leżeć sztywnymi do wschodu słońca. A przy przedłużającej się suszy i upale w Hiszpanii , chłodna, czysta woda była płynnym srebrem. Niestety, wiele wspólnych studni było zanieczyszczonych szczątkami gnijących sąsiadów. Niektórzy oskarżali Żydów o profanowanie wody; a inni oskarżali muzułmanów; Jednak, co dziwne, w obliczu tak apokaliptycznego wydarzenia, które spadło wprost na ludność chrześcijaństwa, tylko garstka obwinała diabła. Niemniej jednak, dla tych starszych mieszkańców, którzy byli zbyt słabi, by uciec z domów i odważyli się choćby na łyk wody ze studni, wybór był tak oczywisty, jak woda, której pragnęli – poddać się chorobie czy powstrzymać się od odwodnienia. Mimo to, w rozpacz i desperacji, pili

z kubka, modlili się głęboko i dołączali do swoich sąsiadów na pozbawionych ziemi cmentarzach miasta .

Gdzie indziej angielskie miasta i wsie ugiwały się pod ciężarem hiszpańskich. Nawet przy surowych przepisach portowych, zaraza była złodziejem nocą, kradnąc drogę. Przepływając przez ciekłe wodne i przemykając obok portów Londynu i Bristolu. Po osiedleniu się na mieliźnie, zaraza eksplodowała. Lekarze, księża i politycy bezceremonialnie wskakiwali do grobów; a niczym morze wrzodowatych lemingów, połowa mieszkańców miast poszła w ich ślady. Latem 1349 roku dżuma pędziła na północ, skażając angielskie tereny wiejskie, torując sobie drogę przez zatłoczone Norwich i Chester, aż dotarła do Wexford w Irlandii. Pod koniec roku Czarna Śmierć zaraziła wszystkie najbardziej wysunięte na północ miasta regionu , w tym Edynburg w Szkocji.

czarne obwódki wokół różowych węzłów chłonnych — ponad jedna trzecia Europejczyków kichnęła i umarła, mając pełne kieszenie bukietów, aby przegonić rozkład.

Czas płynął jak oczy umierającego człowieka, a dni podążały za sobą niczym oddechy pewnej śmierci. Mężczyźni i kobiety omijali miasta w poszukiwaniu jedzenia. Zamiast tego przeczesywali opuszczone pola, polowali na zwierzynę w dziewiczych lasach i przeszukiwali górskie strumienie, desperacko próbując zgromadzić wystarczającą ilość pożywienia, by przetrwać zimę. Rodziny chowały się za drzwiami, które oznaczały na zewnątrz na czerwono, i zabezpieczały je od wewnątrz stosami ciężkich kamieni; narzędzia rolnicze opierały się o sąsiednie ściany, pełniąc rolę broni w pogotowiu. A gdy w końcu nadeszła zima, wielu mieszkańców środkowej Francji było zbyt zaabsorbowanych drzwiami jako potencjalnymi punktami wejścia, nie zwracając uwagi na pewność swoich sufitów.

Demony z Bramy Opactwa nigdy nie dotarły do celu, do którego dążył kardynał Blasi – francuskiego miasta Calais i jego angielskiej armii okupacyjnej. Zamiast tego, napędzane wyłącznie ciemnością opętania przez demony, te latające posągi chimer przemierzały wieczorne niebo Francji, rozprzestrzeniając się wraz z równie rozprzestrzeniającą się i palącą mgłą, by w końcu dotrzeć do obrzeży wioski Murat, gdzie przebijały się przez strzechy, siejąc zniszczenie.

Powagę tego, co zmiądzżyło wioskę Murat, mogła najlepiej ocenić i docenić jedynie garstka sługusów podziemia; owi starsi i bardziej doświadczeni demony ze zdrażliwych krain Tartaru, z których jeden pełnił funkcję nadzorca w Pałacu Hadesa. Zaiste, pozwolono im na taką swobodę, że mogli zadawać wiele z najbardziej niewspomnianych mąk piekła . Te demony, opętane przez groteskowe posągi dawno zmarłych Grotesków na katedrach, były...

jedynie duchowe twory przeklętych legionów Lucyfaela. Kamienne figury nie były napędzane przez swoją dawną cielesną egzystencję. Można je łatwo porównać z nic więcej niż „latające kamienie”, zamieszkane przez duchy demonów, które wrzucają swoje niegodziwe dusze przez częściowo uszkodzony portal Kamiennej Bramy, a ich prawdziwe ja wciąż są uwięzione w Piekło, ponieważ tylko dwa z trzech Kamiennych Bram tworzących Wielką Pieczęć zostały od tego czasu „odblokowane”. Po prostu, dopóki Kamienny Bramny Klasztor Canello pozostawał zamknięty, niezależnie od tego, jak osłabiona mogła być Wielka Pieczęć, nadal spełniał swoją boskiego i zamierzonego celu; a te podziemne demony mogły jedynie nękać świat w bezcielesnej formie duchów opętania, widm, błękitnych diabłów, inkubów, sukkubów i tym podobnych nikczemników. I spośród wszystkich inkubów i sukkubów od tamtej pory wrzuconych do piekła – a było ich wielu – Lucyfael panowała jako Królowa Sukkubów, będąc główną dręczycielką i duchową rozpustnicą, rzucając swoje podobieństwo i nikczemne pragnienia na śpiących i bezbronnych Synów Człowieczych i pozostawiając legiony zaczarowanych potomków Eljo i Eliouda, z ziemskiego ciała i kości, zaśmiecających świat w Jej nikczemnym śladzie. I nie miała ona macierzyńskiego pragnienia zapewnienia Im bezpieczeństwa – zamiast tego, jak Łazarz, pozostawiając Ich samym sobie
Albo zginiesz, gdy nadejdzie nieunikniony świt pierwszego światła.

Mimo to piekło nie było nasycone. W ulotnych porach kolejnego piekielnego roku dżuma spowijała środkową Francję niczym eteryczny całun. A w najciemniejszych godzinach jej trwania Obecność, paląca mgła Opactwa i wędrujące kamienne Groteski pochłonięły stale rozszerzający się obszar plagi i zniszczenia. Zdarzyło się wówczas, pod koniec 1350 roku, że każdy mieszkaniec wioski Vic-sur-Cere i Saint-Flour był świadkiem horrorów demonów przypominających chimery, które roily się po nocnym niebie niczym stado wron. Wieśniacy krzyczeli i rozpierzchli się; jednakże trwałe wyrazy przerażenia, których można by się spodziewać na szczątkach twarzy co najmniej jednej ofiary, były zauważalnie nieobecne u każdego zmarłego mieszkańca — żaden nie miał głowy — ani jedna czaszka nie leżała oddzielona od innych rozrzuconych szczątków. A te masowe okaleczenia pozostały w dużej mierze niewypowiedziane, jeśli nie z powodu braku żywych relacji, to z powodu zbiorowej obojętności na śmierć. W końcu każde miasto, miasteczko i wieś upadały na swój sposób, a unoszący się w powietrzu smród służył jedynie jako ostrzeżenie dla migrantów, którzy przeżyli zarazę, aby wybrali mniej uczęszczaną ścieżkę – aby uniknąć wszelkich źródeł

nieprzyjemne zapachy.

Mimo to ciała i ubrania nadal spadały z wybielonych kości, znacząc upływ dni jednego z bardziej przebiegłych planów Piekła. Wielka Zaraza, która zaczęła się od jednego ptaka – jedynego wskrzeszonego przez diabła chińskiego gołębia – zdołała zniszczyć większą część Ludzkości. Nagła, jak się pojawiła, przeminęła niczym opadający popiół na gasnącym wietrze. Niczym zbyt mocno wymachnięty miecz albo szaleńczo rzucony czar zła, rozległy potok śmierci zarazy przeciął każdą żyłą Europy, zanim zatoczył koło w sercu

Chiny. A gdy wszystkie monety zebrano z oczu zmarłych – gdy ostatnie fale Styksu ucichły, zaraza obróciła w proch dwadzieścia cztery miliony europejskich mężczyzn, kobiet i dzieci. W Chinach zniknęło trzydzieści pięć milionów dusz. Niezliczone miliony na obszarach Indii i Afryki zostały wyrwane z istnienia; wszyscy padli ofiarą Żniw Czarnych Jabłek Lucyfaela. Jednakże, ponieważ suche liczby nie zawsze skłaniają do porównywania takich śmiertelnych i historycznych proporcji tak trafnie, jak być może

Właściwie zastosowana perspektywa – gdyby wszyscy europejscy zmarli zostali ułożeni jeden na drugim we wspólnym grobie, głębokość grobu przekroczyłaby 3600 mil. Co więcej, gdyby wszyscy zmarli z Chin spoczęli w jednym grobie, jego głębokość sięgałaby prawie 8 tysięcy 300 kilometrów w głąb skorupy ziem.

Dla ludzkości Wielka Zaraza sięgała głębiej niż dwumetrowa jama – głębiej niż bezdenny strach – spadała aż do Piekła, skąd ją po raz pierwszy stworzono. A wraz ze wszystkimi ofiarami, połowa znanego świata przewróciła się i zginęła, gdy taoistyczny arcykapłan i jego pojmana Groteska Świątyni Latającego Smoka z Trzech Wielkich Przełomów w środkowych Chinach ośmielili się otworzyć pierwszą z trzech pieczęci Wielkiej Otchłani. Wszystko to wydarzyło się na mrocznych kartach Historii, jak to nieodmiennie bywa z nieszczęściami.

[Koniec rozdziału 12]



To dzieło literackie zostało stworzone d wyłącznie w dedykacji

Edgar Allan Poe (1809—1849)

— Niech jego dziedzictwo żyje w nas wszystkich —



~[GothicNovel.Org](https://www.gothicnovel.org)~